NUMER 43. DNIA 23. PAŹDZIERNIKA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

(Ciąg dalszy.)

„To nasz kapitan“ ozwało się kilkanaście głosów od krakowskiego koła ku jadącym, i poskoczyli z dziedzińca oficerowie i powstańcy, którzy się już brali do kielicha i wstrzymali powóz, panie wysiadły z powozu i weszły w dziedziniec, ale okazały mężczyzna na karym koniu i piękna amazonka, co obok niego jechała, nie zsiedli z koni, wjechali oboje w dziedziniec okrzykami radości witani, a, zatrzymawszy się obok ganku, prosili, aby nie przerywać tańców. Te panie, co z powozu wysiadły zaproszono w tejże chwili do tańca, a że kielichy były już nalane, więc wypito zdrowie przybyłych.

Mężczyzna, który siedział na okazałym karym koniu, był to zamożny obywatel, który w sąsiedztwie miał majątek, obyczajem rodu swego służył on w młodości swojej aż do kapitana wojskowego w korpusie litewskim, ale ożenił się młodo, a żona jego, ktora w tej chwili z trzema przybyła córkami, była raczej do ich starszej siostry podobną, niż do matki, kiedy obok siebie w krakowiaku stały; najstarsza była to owa smukła amazonka, którą ojciec na chłopca niby chował, bo mu Bóg syna nie dał. Kapitan (żałuję bardzo, żem zapomniał jego nazwisko) był z czerkieska ubrany, miał srebrną ładownicę na sobie i kosztowną karabelę przy boku, siedział w wojskowym rzędzie na koniu prześlicznie — jak malowany, a cóż dopiero powiedzieć o amazonce; co było ludzi w dziedzińcu, wszystkich mężczyzn i wszystkie panie oczarowała odrazu. Oficerowie klękali przed koniem, pijąc jej zdrowie, a ona śmiała się, jak dziecko, i spoglądała na ojca tylko. Oficer z pierwszego pułku ułanów prowadził krakowiaka, a kiedy się po wiwatach ozwała znowu muzyka i krakowiak obszedł koło, zatrzymały się wszystkie pary przed amazonką, oficer ukląkł przed jej koniem i zaimprowizował krakowiaka, który mi dotąd został w pamięci.

Albo spuść się z konia, albo zakryj oczy —
Bo mi z piersi serce do ciebie wyskoczy!
Albo spuść się z konia — albo odjedź sobie —
Bo ja nie zapomnę tych oczu i w grobie.

Oklaski i wiwaty nie chciały brać końca po tym krakowiaku, chciano zdjąć z konia i ojca i córę, ale kapitan krzyknął z konia donośnym głosem: „Proszę o głos!“ i jak mak siał w całem kole.

„Panowie! ja jadę do głównego sztabu i rządu narodowego, bo to czas wojny, a ja Tatar, co na wolnem prawie od czasów Witołda służę ojczyźnie, jestem porucznikiem i chorążym mojej okolicy z dziada pradziada. Bóg nie dał mi syna, to musiałem choć najstarszą dziewczynę wychować na koniu i nie zdejmujcie mi jej z konia, kiedym ja, jako Tatar litewski siadł na konia; wedle praw i przywilejów naszych mamy służyć wojskowo za rozkazem wielkich książąt litewskich, więc ja jadę po taki rozkaz do głównego sztabu. Tatarzy moi niepokoją się i boję się, żeby mi jakiego głupstwa nie zrobili, więc nie wstrzymujcie mnie, ani córki mojej, bo jak rozkaz będzie dany, to wam postawię pułk tatarsko-ułański, który bez przewodnika przejdzie po polu.“ „Wiwat, niech żyje kapitan, niech żyją litewscy Tatarzy.“

Kapitan otarł łzy, a córka dziękowała suchem okiem za cześć jej ojcu oddaną. Zostawiam wam, co mogę, rzekł kapitan, ruszając z miejsca, „zostawiam wam żonę i dwie córki, tu macie furgony z żywnością, które wam żona moja odda, ale mnie puszczajcie, bo to czas wojny, a ja Tatar“.

C. d. n.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA ROKU 1863/1864.

(Dokończenie.)

Szkoda, że rozdział poświęcony „Szkole wojskowej w Genui i Cuneo,“ nie daje wyczerpującej monografji tego zakładu, tak pod względem warunków założenia tegoż, jak i pod względem jego wartości naukowej, pedagogicznej i t. d. Broszura napisana w tym przedmiocie przez p. Szachowskiego, niegdyś ucznia tejże szkoły, a obecnie profesora uniwersytetu lwowskiego, mogłaby była autorowi Księgi dostarczyć odpowiedniego materjału.

Do listy profesorów i uczniów tego zakładu nie wiele dodać można, według informacji, jakich zasięgnęliśmy u mieszkających tutaj jego wychowańców. Zapatrują się oni przytem dość pesymistycznie na sposób odżywiania uczniów, zaznaczony w artykule, o którym mowa, a następnie stanowczo twierdzą, że wesoły improwizator i bajarz Dr. Tryplin, mieszkający podówczas w Genui, był tylko przyjacielem a nie uczniem samego zakładu.

Z mojej strony to tylko dodam pocieszającego, że Zygmunt Siemiński, nie poległ nigdzie: od roku 1875 do 77 byliśmy dobrymi przyjaciółmi w Bukareszcie.

Jedną z dróg krzyżowych polskich, podaje Księga pamiątkowa w „Wykazie etapów i półetapów.“

Rozdział: „Duchowieństwo polskie“ i t. d. zawiera wykaz księży i zakonników wywiezionych na Sybir a po wypełnieniu kary osadzonych w Tunce w liczbie 161, wykaz ten został ułożony alfabetycznie według dziełka ks. Wacława Kapucyna (Edward Nowakowski).*)

Najtrudniejsze i najniewdzięczniejsze zadanie założyło sobie wydawnictwo Księgi pamiątkowej w zredagowaniu „Notatek biograficznych uczestników organizacji i partyzantki roku 1863/4.“ Jakto sam przedwstęp do tego działu zaznacza, liczenie na nadsyłane autobiografje, zawiodło redakcję. To jest naturalnem, gdyż ogół człowieczeństwa skłonnym jest do samochwalstwa, a autobiografje są tylko pożytecznemi o tyle, o ile się rozwijają na tle wypadków dziejowych. Zredagowanie więc tego działu, zawierającego 17 arkuszy druku, tj. więcej niż połowę książki, połączone być musiało z wielkiemi trudnościami i wymagało ogromnej pracy. Nic więc dziwnego, że dział ten zawiera w sobie i za mało i za wiele danych.

Powiedzieliśmy za mało w tem znaczeniu, iż wielu pierwszorzędnych a zasłużonych działaczy nie znalazło pomieszczenia w spisie biograficznym, jak np. Heidenreich (generał Kruk), Stanisław Frankowski, komisarz pełnomocny Rządu Nar.; obaj zmarli we Lwowie; — innym dostały się dwa lub trzy wiersze wspomnienia, jak np. członkom Rządu Narodowego: Asnykowi, J. K. Janowskiemu, komisarzowi pełnomocnemu na Galicję Stanisławowi Jarmundowi i t. d. To stanowczo za mało dla ludzi podobnych zasług.

Za wiele zaś poświęcono czasu, pracy i miejsca niektórym ludziom, którzy albo wybierali się tylko do powstania, albo współczuli mu z daleka lub z blizka, albo dzieciom, które „szarpie skubały i śpiewały pieśni patrjotyczne,“ albo zacnym Polkom, które bez żadnej pretensji do udziału w partyzantce, lub organizacji, spełniały samarytańskie obowiązki pielęgnowania naszych rannych żołnierzy. Zresztą co do Polek i dzieci polskich poświęca Księga dwa oddzielne rozdziały, którymby zarzucić można tylko to, że traktują sprawę ze stanowiska zbyt prowincjonalnego, zapominając o tych patrjotkach, które poświęcenie swoje dla Ojczyzny, opłaciły bądź życiem, bądź czcią niewieścią, bądź cierpieniami wygnania w lodach Sybiru, lub na obczyźnie!...

W życiorysach podanych w rozdziale, którym się zajmujemy, redakcja w wielu razach kładzie zbyt wielki nacisk na działalność popowstańczą, umieszczonych tam osób. Wszak dosłużenie się, w wypadkach szczęśliwych, jakiegoś dygnitarstwa wojskowego lub cywilnego w służbie austrjackiej, nie może wcale podnieść zasług położonych dla Ojczyzny, a często na takowe i ujemnie wpłynąć może. Łączenie tego, co dla Polski, z tem co dla Austrji, może wywołać zamieszanie pojęć w głowie czytelnika, prowadząc go, jak gdzieś powiedział hr. Stanisław Tarnowski: „z polskiej Kalwarji, do austrjackiej kancelarji.“

Oprócz powyższych usterek w dziale życiorysów jest bardzo wiele szkiców biograficznych, mogących służyć za wzory do naśladowania dla młodszych pokoleń.

*) Zobacz „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“ str. 476.

Pozostałe trze rozdziały Księgi pamiątkowej zajmują się nie przeszłością a teraźniejszością, tj. głównie obchodem czterdziestolecia powstania w 1903 roku. Treściwie zebrane fakta przez redakcję Księgi zbyt zgodne są z niedawno upłynioną rzeczywistością, aby je poddawać jakiemuś specjalnemu rozbiorowi.

Poczucie jednak sprawiedliwości wymaga, aby zwrócić uwagę redakcji, iż jeżeli uznała za stosowne dla upamiętnienia obchodu wyliczyć nietylko członków Komitetu obywatelskiego, w jego ściślejszym i obszerniejszym składzie, ale nawet wszystkich radnych, zasiadających w Radzie miasta Lwowa, to należało także wymienić w całości członków wchodzących w skład wydziału Towarzystwa wzaj. pom. uczestników powstania 1863/4 r., który wspólnie z Komitetem uroczystości obchodowe przygotowywał i w tychże uroczystościach Towarzystwu przewodniczył; jednem słowem Wydział „Towarzystwa“ z roku 1902, z którego czynności sprawozdanie pomieszczone na str. 427 i 428 zamyka rzecz o Tow. wzajemnej pomocy uczestników powstania z 1863/4 r.

Takie oddanie „cesarzowi, co cesarskiego, a Bogu, co Boskiego“ nie zrobiłoby ujmy wybranemu Wydziałowi na rok 1903, dopiero w dniu ostatnim uroczystości jubileuszowych, a którego urzędowanie dopiero w tydzień potem się zaczęło.

Pominięcie to w każdym razie godnem jest pożałowania.

Zresztą w sprawozdaniu obchodowem, z prawdziwą przyjemnością znajdujemy mowę pełną wzniosłego patrjotyzmu, wygłoszoną w dniu 21. stycznia 1903 r. z kazalnicy katedralnej. Szkoda, iż ksiądz Prałat dozwolił na ogłoszenie jej tylko w streszczeniu, gdyż każde jej słowo powinno być zapisane złotemi głoskami dla nauki przyszłych pokoleń.

* * *

Oto jakie uwagi zrodziły się w mej myśli, po dokładnem przeczytaniu Księgi pamiątkowej, Nie zbywam jej banalnem pochlebstwem, lub krótkim komplementem, a to przez szacunek tak dla niej jak i jej wydawców. Jak każde dzieło ludzkie, tak i ta książka ma swoje usterki, które wobec doniosłości jej zadania wykazanemi być winny, choćby dlatego, aby w następnem wydaniu takowych uniknąć.

Błąd wykazany a dotyczący genezy organizacji przedpowstańczej białych, jako zasadniczy i mogący spowodować u czytelników fałszywe pod tym względem pojęcia, powinienby, zdaniem naszem, być poprawionym przez autora odnośnego artykułu, choćby przez specjalne wyjaśnienie, któreby do każdego egzemplarza Księgi dołączonem było.

Reszta pomyłek nie ma takiej doniosłości, aby mogły zaszkodzić wartości książki, która jako cenne źródło historyczne i droga pamiątka dla rodzin polskich niewątpliwie znajdzie poparcie i powodzenie w naszem społeczeństwie; tembardziej, iż dochód z niej przeznaczony jest dla biednych i coraz więcej niedołężnych uczestników powstania styczniowego.

Lwów d. 9. października 1904.

Bolesław Anc.

OFIARA 7)

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Dokończenie.)

URLOPNIK. Jak my stali pod Widniem, to my mieli taką bandę przy regimencie, co ino same marsze grała. Na każdy zontag maszerowalimy w kirchparadzie do miasta — do kirchy, bo tam kościołów nima, ino kirchy — a banda grała marsze, aże sie Wideń trząsł. Frajliny z okien wyzierały... A jak my szli koło Burgu, to sie sam Najjaśniejszy Pan cudował... i potem kazał tę bandę do siebie sprowadzić, coby mu grała. Po pięć cwancygierów gieltagu dostawał każdy — a nic inszego nie robili, ino te marsze grywali. Pięć cwancygierów na dzień... pomyślenie! Ale też grali!... *(Podczas gadania urlopnika za oknem na werandzie staje dziad — wpatruje się łakomie przez szyby).*

JAN *(dojrzał go, przyzywa ruchem ręki).*

DZIAD *(nieśmiało wchodzi).*

JAN *(do Kubusia)* Przynieś nakrycie — podaj obiad... prędko! Czemu stoisz i patrzysz nierozumnie?

KUKULEC. Ni może sie mu w głowie pomieścić, jako to...

JAN *(w zdenerwowaniu — gniewnie)* Przynieś obiad! *(Lokajczyk wybiega. Zwracając się do dziada, zmienionym głosem)* Siadaj człowiecze, *(wskazuje dziadowi swój stołek, sam chodzi po sali).*

DZIAD *(rzuca torbę, kij, czapkę — maszeruje sztywnie i siada, oglądając się z niedowierzaniem na Jana, jakby w obawie, że żart z niego czyni).*

GOŚCIE *(którzy ze zdziwieniem patrzą na to — wybuchają śmiechem, Jan spojrzał po nich — ucichli).*

KUBUŚ *(przynosi obiad, staje, udając, że nie wie, gdzie podać. Jan wskazuje siedzącego przy stole. Kubuś zanosi).*

DZIAD *(patrzy na talerze — to na lokajczyka — nie wierzy jeszcze — nie dowierza).*

JAN *(przechodząc mimo, kładzie mu rękę na ramieniu)* Jedzcie...

DZIAD *(spojrzał za odchodzącym — otwiera usta — chce coś mówić — słowa zamierają. Bierze w palce kawałek mięsa i łakomie je).*

GOŚCIE - CHŁOPI *(patrzą zgorszeni na to — pomruk).*

JASTRZĄB. Człek roki zeżył — z dziadami nie jadał...

KUKULEC. To la nas oczywista obraza... czy nie?

MATUS. He! he! he! Dziadku! Macie teraz bal! Ani wam w raju tak nie bedzie. *(śmiechy).*

JĘDRZEJ *(do Łoziny)* Pijmy, co se mamy żałować!

ŁOZINA *(w stronę Jana)* Za nieboszczyka ojca... he! he! he!

KUKULEC. Świat sie ino odmienia, moiściewy, a ludzie zawdy ci sami...

ŁOZINA *(pijany, szepleni)* Sprawiedliwość musi być na wierzchu...

GOŚĆ I. *(taczając się, spotyka na swojej krzywej drodze Jana)* Nad czem to tak medytujecie? Hę?

JAN *(patrzy nań, ten się miesza pod wzrokiem i ustępuje).*

KUKULEC *(od stołu — do Jana)* Możebyście siedli przy nas, chwileczkę?

JĘDRZEJ. Dejcie pokój, kumie — niech se myśli...

ŁOZINA. Przeznaczenie nad ludźmi wisi — nic nie pomoże!

URLOPNIK. Jak my stali pod Widniem...

MATUS. He! he! he! Dziadku! Myślicie se na cały rok pojeść?

(Paru puszcza w oczy dziadowi dym z fajek, co budzi ogólny śmiech; dziad oczy wyciera pięściami i przychylony je — na nic nie zważa — aż do końca).

KUKULEC *(nachylony ku niemu ciszej)* Nie tróbujcie sie dziadku — Paniezus miłościwy na ludziska — dostanie sie i wam...

URLOPNIK *(do Matusa)* Oz kwaterunek jak sie patrzy, co tydzień insza freirka, a menaż jak u cesarza...

ROKITA *(dosłyszawszy ostatnie słowo urlopnika — pijanym, cienkim głosem poczyna se nucić):* „Cesarzu, cesarzu, wielgomożny panie! Dałeś mi sabelkę...“

URLOPNIK. Trzy razy na dzień flajsz — konserwy. Bracie, powiadam ci: zwerbuj sie!

ROKITA *(j. w.)* „Werbuj sie, szykuj sie do jenfanterji — Dadzą ci konisia...“ *(Pijane śmiechy).*

ŁOZINA *(bije pięścią w stół)* Sprawiedliwość musi być na wierzchu — nic nie pomoże!

URLOPNIK *(obejmując Matusa za szyję — nuci wśród wznoszącego się hałasu i pijanych śmiechów)* „Powiadają Miemce — że my cudzoziemce... A my se Polacy — chłopcy Ostryjacy!...“ Juh!

MATUS *(razem z urlopnikiem)* Juh! *(Pijane śmiechy).*

JAN *(który wyczekiwał „chwili“ sposobnej do przemowy, chodząc w zdenerwowaniu coraz to większem — gdy hałas się wzmaga — opanowuje się — podchodzi ku stołowi i poczyna z podniesioną ręką)* Słuchajcie bracia! *(gwar cichnie)* Nadszedł nareszcie czas, w którym my, synowie jednej Matki, tej ziemi nieszczęśliwej, od pół wieku jęczącej w niewoli i na trzy części rozdartej...

MAGDUSIA *(wpada)* Ludzie jacyś... *(ciszej do Jana z trwogą)* Ratuj sie, panie!

(Równocześnie słychać gwar i łomotanie w oddali za sceną — przy stole wielkie poruszenie).

JASTRZĄB *(powstaje)* Oho! Spóźnili sie na obiad...

JAN. Co to ma znaczyć? *(patrzy po zebranych).*

MARJA *(we drzwiach — w negliżu)* Janie! Co to za hałasy?

JASTRZĄB. E, nic takiego, wielemożna pani... Kamraci nasi.

TŁUM *(za sceną)* Hurra!

JASTRZĄB. Odpowiedzmy...

WSZYSCY. Hurra!

MAGDUSIA *(do Jana, z rozpaczą)* Ratuj sie, panie! *(przypada mu do nóg).*

TŁUM *(za sceną)* Dawajcie pana!

MATUS *(idzie ku werandzie, aby otworzyć).*

MAGDUSIA (*Rzuca się, zastępuje mu*) Psie! (*szarpie się z nim, zdołała wyrwać klucz, biegnie do Jana*).

MARJA (*z krzykiem*) Janie! (*chce biedz ku niemu, — chwieje się — pada — mdleje!*

JAN (*chce biedz ku niej — zebrani zastępują*) Magduś! (*wskazuje jej oczyma Marję*).

MAGDUSIA (*podnosi Marję i wyprowadza*).

JAN (*do okrążających go*) I wy przeciwko mnie — i wy... (*Bezmierny żal i wyrzut*).

BIESIADNICY (*zatrzymali się — patrzą po sobie*).

URLOPNIK (*występując*) Z becyrku idzie befel — czy nie rozumiecie?!

TŁUM (*za sceną*) Dawajcie pana!

BIESIADNICY (*zbliżają się do Jana — paru niesie powrozy, które skądś nagle wydobyli*).

JAN. Pozwólcie mi słowo przepowiedzieć...

PARU Z GOŚCI. Nie!

ŁOZINA. Cicho, cicho — niech powie.

JAN. Zaraz... Jakiego słowa użyć, aby was tem słowem wstrzymać... Co czynicie? Zastanówcie się w sercach... Jaki was szatan zmienił? Na Chrystusa, na Jego śmierć niewinną zaklinam — stójcie!... bo straszną zbrodnię poczynacie... Kto was skusił?... Bracia! Opamiętajcie się. Czy Bóg ślepotę na was rzucił? Przecie to ja tu stoję przed wami — wasz sąsiad i brat szczery... Któż wam był więcej życzliwym nademnie? Czy miał który z was brata życzliwszego? Wspomnijcie w tej chwili wszystko, czegoście odemnie doznali — czyście doznali co złego? Ja dla was cały żył... O, żebym wam mógł serce otworzyć przed oczy! (*za sceną pożar*). Przysięgam wam na zbawienie, jeżeli jeszcze nie wierzycie, że całą duszą pragnąłem szczęścia dla was... Bracia!...

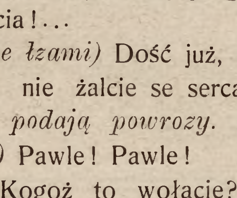
WALEK (*ze łzami*) Dość już, dość, panie, już nie mówcie — nie żalcie se serca... (*Ocierając łzy rękawami, podają powrozy. Łozina wiąże*).

JAN (*d. s.*) Pawle! Pawle!

ŁOZINA. Kogoż to wołacie? Darmo. Sprawiedliwość musi być na wierzchu. (*przyciąga powrozy*) Tak...

(*Kurtyna*).

K O N I E C.



Pańskie boje.

(*Karta z dziejów przemyskiej ziemi*).

Jeżeli Jan hr. Drohojowski wydaną przez siebie świeżo „Kronikę Drohojowskich“ *) uważa między innemi „za podstawę dla pisarzów historycznych powieści“, to żaden może epizod dziejów tego rodu nie nadaje się bardziej ku temu, jak tragiczny skon Jana Tomasza, referendarza koronnego i starosty przemyskiego, u samego progu wieku siedmnastego. I równocześnie nawet, kiedy „Kronika Drohojowskich“ niezmierną pracą autora i ogromnym kosztem całej rodziny wychodziła na świat w dwutomowej swojej objętości i 200 numerowanych egzemplarzach, tenże epizod z Janem Tomaszem Drohojowskim znalazł w p. Władysławie Łozińskim godnego piewcę, a w jego dziele („Prawem i lewem“) barwne opisanie. Cieniom przeto awanturniczego referendarza nie padł los zapomnienia, a jego historja w odmiennem traktowaniu obu autorów dziwnej nabiera wypukłości. Tak samo świeci stary gobelin, skoro się go z kurzu oczyści.

Pan z Drohojowa, potomek starożytnego rodu, gdzieś od władyki Atanazego w mrokach piętnastego stulecia wywód swój biorący dopiero u schyłku swojego wieku stanął na rodzinnej przemyskiej ziemi. Cały żywot sterał w służbie publicznej, posłował do Włoch, do Francji i Turcji, razem ze Stefanem Batorym odbył wszystkie jego wojenne potrzeby, czterech królów polskich zapamiętał, a każdemu służył mieczem swoim i głową, wiedzą i układną dworskością. Wracał tedy na starostwo przemyskie syt chwały i dworu a wybrzeża Sanu, Wiaru i Strwiąża miały mu nieść chleb dobrze zasłużony.

Tylko, że referendarz i starosta przemyski rogatą miał duszę. On układny polityk i dyplomata, zamieniał się nagle u siebie w dzikiego warchoła i gwałtownika, on uczestnik wyprawy gdańskiej, pskowskiej, wołoskiej i tylu innych, był równocześnie pieniaczem, co pozwem i repliką równie dobrze wojuje, jak mieczem, on obrońca króla i ojczyzny od koronnego nieprzyjaciela, był równocześnie tegoż króla i ojczyzny największym wrogiem, depcąc ich prawa i nakazy, wywracając porządek praw i przywilejów Rzeczypospolitej. Dziwny i straszny człowiek, ale przecież podobny do całego swego otoczenia, dziecko swojej epoki.

Stał się więc Jan Tomasz Drohojowski referendarz kor. i starosta przemyski zmorą Przemyśla,

---

*) Kronika Drohojowskich, napisał Jan hr. Drohojowski. Kraków 1904. 2 t.

uwisł nad nim jak czarna chmura, z której co chwila gromy uderzają, a ludna i bogata ziemia rodzinna, stała się polem zapasów i gwałtów człowieka, co innej woli nie znał nad swoją, ani innego prawa, nad własną swawolę.

Tak rozbiegany rumak szaleje po polu, wszystko łamiąc i niszcząc, co tylko mu w drodze stanie, aż wreszcie na silniejszą od siebie dłoń natrafiwszy, pada w zawodzie i krwią własną zakończy zniszczenie.

Przed dumnym starostą drżał sam władyka przemyski Michał Kopystyński i chodził z pozwami do grodu to o wycięcie drzew, to o wołów zajęcie, to o dworu najście we wsi Wieluniczach, gdzie srożył się dworzanin referendarski Jan Łada w sposób straszliwy. Ławnicy, wójtowie, sołtysi i cała przemyska gmina stanęła w ogniu procesu, gdy w r. 1596 zabrał im Drohojowski bezprawnie Pikulice i Zasanie. Bojarzy z Witoszyniec myśleli razu jednego, że to nieprzyjaciel koronny następuje, gdy kozacy Drohojowskiego podnieśli zgiełk wielki i rabunek w zaścianku. Mieli wójtowie nad Strwiążem dekrety królewskie na referendarza, ale on ich razem z wolą króla do więzienia wrzucił własnego. I pleban w Porażu pamiętał, jak go ogniem przypiekali słudzy Drohojowskiego i wielu innych płakało i manifestowało po grodach swe krzywdy.

Aż wreszcie zadzierzgnął się węzeł tragiczny. Na Lesku żył Stanisław Stadnicki, równego animuszu i równej swawoli pan, który podobnie jak Drohojowski żadnej woli nie uznawał nad własną. Już od dawna wrzała między dwoma magnatami, z których każdy, niby udzielny pan, miał na swoje zawołanie formalne siły zbrojne z armatami nawet i obozowym taborem, głucha nienawiść, którą ostatecznie krwawą łuną zabarwiła sprawa chorążego ziemi sanockiej Stanisława Tarnawskiego. Ów Tarnawski, właściciel Zagórza, Osławy, Poraża, Glinnego i t. d. był zupełnym bankrutem, który unikając wypłacenia Drohojowskiemu znacznego długu, darował posiadłości swoje prawem wieczystej dzierżawy Stadnickiemu. Stąd wojna między Drohojowskim a Stadnickim, wojna formalna z armatami, oddziałami zaciężnej siły zbrojnej, a nawet pospolitem ruszeniem szlachty przemyskiej i sanockiej, która wzywana do egzekucji dekretów sądowych przeciw Tarnawskiemu, właśnie w jego obronie stanęła. Nad rzeką Strwiążem, między Chyrowem a Suszycą przyszło do pierwszej bitwy między Drohojowskim a Stadnickim, w której ten ostatni pobity, ledwie z życiem uszedł. Stało się to w r. 1601, a w dwa lata później przyszło do prawdziwej rewolty w samym Przemyślu i do sceny, która całemu temu obrazowi nadaje wprost krwawego i ponurego kolorytu.

Było to w czasie kadencji roczków ziemskich w Przemyślu r. 1603. Na taką okazję wyjechał Stadnicki z całym pocztem uzbrojonych żołnierzy i tłumem oddanej sobie szlachty, a niemniej i obóz Drohojowskiego czekał w pogotowiu. W takich warunkach nic łatwiejszego było, jak wywołać awanturę. I rzeczywiście powstał tumult, który ogarnął niebawem całe miasto. Zaraz w pierwszej potyczce padł trupem sługa niejakiego Popiela Żorański i szlachcic Andrzej Skorudeński ze Skorudna. Drohojowski rzucił w bój swoje siły zbrojne, a nawet począł prażyć obóz Stadnickiego ogniem działowym. Kule armatnie latały tak gęsto, że uszkodziły katedrę przemyską a w jej wnętrzu zabiły kilku ludzi.

Groza padła na cały Przemyśl. Biskup Pstrokoński rzucił klątwę na Drohojowskiego i zamknął zbezczeszczoną katedrę, oburzenie na sprawcę tej sedycji wzrastało, tak że wreszcie ów dumny pan ukorzyć się musiał przed władzą kościelną. Nie przyszło mu zbyt trudno wystąpić w charakterze pokutnika, gdyż biskup Pstrokoński w pontyfikalnych szatach wyszedł aż do drzwi katedry naprzeciw kajającej się owieczki i w uroczysty sposób udzielił mu absolucji.

Wojna ze Stadnickim nie ustała jednak, owszem prowadzoną była z zaciekłością i wśród mnóstwa potyczek, które wreszcie w listopadzie r. 1605 doprowadziły do walnej rozprawy. Drohojowski okopał się obozem między Glinnem a Uhercami i wytrzymywał przez czas pewien oblężenie wojsk Stadnickiego, aż wreszcie 19. listopada 1605 przebity został włócznią i tego samego dnia o godzinie 12 ducha swego awanturniczego wyzionął, w 70 roku życia.

Jeden to tylko epizod z „Kroniki Drohojowskich“ a było takich więcej w dziejach rodziny, która za sobą ma 9 pokoleń. *Fr. Jaw.*

Dr. MIECZYSŁAW GROCHOWSKI.

O garncarzach na Huculszczyźnie.

(Ciąg dalszy.)

O ile piękną wydaje nam się myśl zaznajomienia młodzieży szkolnej z przemysłem i sztuką krajową, o tyle dziwić się musimy, że tak niedołężnie napisany artykuł znalazł się w podręczniku szkolnym.

Kim jest Piotr Baranowski, o którym wspomina Wierzbicki w wyżej cytowanem dziele, dojść

nie mogliśmy, tem bardziej, że i Szuchiewicz, wspominając o garncarzu Baranowskim, nie podaje imienia — poznaliśmy natomiast Józefa Baranowskiego, którego wyroby pięknością swą zwróciły naszą uwagę. Równie jak i Bachmiński nie jest on pierwszym garncarzem w rodzinie i największy rozwój sztuki garncarskiej w rodzinie przypisuje ojcu Michałowi. — Michał Baranowski urodzony 23. listopada r. 1834 był synem Jana, również garncarza i Marji Chrzanowskiej — umarł w r. 1902. Józef jest synem Michała i Rozalji Perkatiuk, urodził się 2. sierpnia 1868. Metryk poszczególnych udzielił mi również łaskawie ksiądz proboszcz Borkowski.



DZBAN WYROBU JÓZEFA BARANOWSKIEGO.

Józef Baranowski celuje w ścisłem oddaniu motywów ludowych w wyrobach garncarskich. Jeżeli się przypatrzymy z uwagą haftom ludu tutejszego, rzeźbie, gerdanom i pisankom a osobliwie wyszyciom na „kiptarach“ i kożuchach, wszędzie znajdziemy pewne stale powtarzające się motywa, które odtwarza z całą ścisłością geometryczną i drobiazgową na wyrobach swoich ceramicznych Józef Baranowski. Jeżeliby więc chodziło o samą twórczość w pomysłach, musielibyśmy przyznać wyższość Bachmińskiemu, — jednakowoż tak bezwzględnie sądzić nam nie wolno, gdyż Bachmiński przez swoją śmiałą pomysłowość wprowadził rzeczy obce, niezrozumiałe i nieznane nawet naszemu ludowi, gdy tymczasem Baranowski jest w ścisłem znaczeniu tego słowa czysto ludowym. Naśladuje on nawet często z konieczności, stosując się do wymogów i przyzwyczajeń naszego ludu — odtwarzając niektóre obrazy Bachmińskiego — lecz nigdy nie odtwarza go w rzeczach obcych, przyniesionych z zagranicy ziem słowiańskich, przypominających nam niestety humorystyczne pisma niemieckie, jak „Fliegende Blätter“ — odtwarza on obrazy Bachmińskiego takie swojskie, jak cerkiew, dzwonnica, „chresty“ i ryby, zastosowując się do upodobań ludu ruskiego, z którym pozostaje w stosunkach handlowych, lecz o tych rzeczach nie możemy na pewne twierdzić, czy są one wyłącznie spuścizną po Bachmińskim, czy po ojcu jego Michale. Widzimy tylko, że ornamentyka, okalająca te obrazy, jest jednostajnie i ściśle utrzymującą się na raz obranem stanowisku zdobnictwa ludowego, z całym artyzmem wykończonego. Pan Józef Baranowski odznacza się nadzwyczajną, ujmującą serca szczerością i inteligencją; pod jego dachem odczuwamy na pierwszem miejscu to, że jesteśmy u swoich, zjednoczeni ściśle duchem narodowym. Jest on sekretarzem czytelni polskiej na Moskalówce w Kossowie. Wypala naczynia tylko dwa razy do roku i przeważnie trudni się rolnictwem. Jestem w tem miłem położeniu, że posiadam kilka mis i dzbanów jego roboty i mogłem je przedstawić wraz z piecem Bachmińskiego na wystawie w Brzeżanach, o której wyżej wspomniałem. Sztuka zdobienia naczyń Baranowskiego nie ma dotychczas naśladowców, gdyż nie mając do tej pory potomka męskiego, tylko córki, nie ma na kogo przelać swej umiejętności. Nosi się wprawdzie z zamiarem wyuczenia córek, jednakże pracownie tego rodzaju nie utrzymują się stale w linji żeńskiej, jak tego mamy przykład w rodzinie Bachmińskiego.

Wielką także wziętością cieszy się na Huculszczyźnie Piotr Koszak w Pistyniu. Naczynia jego odznaczają się wielką różnorodnością i pięknością form, jest on jednak mniej ludowym garncarzem od poprzednich, gdyż był uczniem szkoły ceramicznej w Kołomyi. Jest on, o ile mi wiadomo, jedynym garncarzem na Huculszczyźnie, wyrabiającym dziś jeszcze piece kaflowe w stylu Bachmińskiego.

Wprawdzie szkoła ceramiczna kołomyjska stara się o przechowanie motywów ludowych, jednakże jak każda szkoła musi mieć na celu udoskonalenie, a zatem i wyroby jej odbiegły już znacznie od wzorów ludowych.

(D. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

Nowe dzieło o Białorusinach. Karskij E. Th. Biełorussy. Tom I. Wwiedienije w izuczenije jazyka i narodnoj słowiesnosti; s priłożeniem dwuch kart. Warszawa. 1903. 8-ka; str. X, 466.

Autor, będąc z zawodu językoznawcą, zajął się przedewszystkiem stroną językową narzecza, przyczem postanowił szeroko omówić fonetykę, morfologję i składnię. Pozatem zaś chciał dać w swojej pracy materjał dla białoruskiego słownika, dotychczasowy bowiem słownik Nosowicza nie odpowiada wcale swemu przeznaczeniu, ani też nie jest zupełnym. Ażeby jednak można było przystąpić do ułożenia dokładnego słownika, trzeba najprzód zakreślić dokładne granice osiedlenia Białorusinów, zwrócić uwagę na główne elementy, jakie weszły w skład języka, poddać krytycznemu rozpatrzeniu dotychczasowe materjały językowe. Taki właśnie cel zamierzył sobie autor.

Za zasługę poczytane być powinno prof. Karskiemu ułożenie mapy etnograficznej plemienia białoruskiego. O kwestji, rozwiązującej pytanie, jakie jest rozsiedlenie Białorusinów, mówi prof. Karski na samym początku swojej pracy. Z pomiędzy szczegółów, jakie zostały w tym pierwszym rozdziale omówione, zasługuje na baczniejszą uwagę oznaczenie granic osiedlenia Białorusów w gubernjach: Witebskiej, Kurlandzkiej, Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej i Suwalskiej. Zarazem rozpatrzył się autor w rozsiedleniu najbliższych sąsiadów Białorusów, a mianowicie: Polaków, Litwinów i Łotyszów, poczem oznaczył granicę południową z Małorusami w gub. Grodzieńskiej, Mińskiej i Czernihowskiej, oraz granicę wschodnią z Wielkorusami w gub. Orłowskiej, Kałuskiej, Smoleńskiej, Twerskiej i Pskowskiej. Na tych to podstawach oparł autor swoją mapę Białorusi, która jest pod każdym względem dokładna, co zawdzięcza nie tylko autopsji autora, lecz także do pewnego stopnia innym uczonym, którzy starali się określić granice etnograficzne innych narodów, a mianowicie Anonimowi, który w swojej pracy „Obszar języka litewskiego“, starał się określić rozprzestrzenienie języka litewskiego, a także po części pracy Woltera „Spiski nasielennych miest. Suwalkskoj gubiernii“ (cytuję z pamięci). Obie te jednak prace były tylko pomocniczymi środkami przy samem przedsięwzięciu i nie mogą ująć zasługi prof. Karskiego, który nie od dzisiaj zajmuje się rzeczami białoruskiemi.

Rozdział drugi zajmuje się osiedleniem terytorjum białoruskiego w czasach przedhistorycznych. Zwłaszcza uwzględnione zostały świadectwa starożytnych pisarzy: Herodota, Ptolomeusza, Tacyta.

Od tej materji przechodzi autor do omówienia języka ruskich plemion, które zamieszkiwały terytorjum białoruskie w dawnych wiekach, wykazując zarazem zapożyczenia od Finnów.

W dalszym ciągu przechodzimy do czasów historycznych, kiedy to wszystkie białoruskie plemiona znalazły się pod panowaniem litewskiem, i kiedy ostatecznie ukształtował się język białoruski, zapożyczając sporo z języka litewskiego i łotyskiego. Następnie rozwodzi się autor obszernie nad polonizmami, jakie do białoruszczyzny dostały się z języka polskiego, kiedy Białoruś wraz z Litwą dostała się pod panowanie polskie. Przy tej sposobności zaznacza autor zapożyczki z języka hebrajskiego, celtyckiego, greckiego, łacińskiego, rumuńskiego, gockiego, niemieckiego i języków wschodnich.

Wykazawszy stosunki, jakie łączyły Białoruś z Moskwą oraz wpływ języka rosyjskiego na białoruski, przechodzi autor do podziału narzeczy białoruskich.

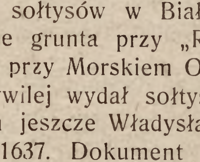
Dla zawodowych etnografów najcenniejszy jest rozdział siódmy w którym prof. Karski zestawia wszystkie prace folklorystyczne, jakie zostały do tąd ogłoszone o Białorusi. Zaczynając od prac najdawniejszych, którymi możemy się pochlubić, bośmy ich dokonali najpierwsi, przechodzi autor kolejno wszystko, co ważniejsze. W ostrożności swej notuje nawet drobnostki, nawet obszerniejsze recenzje. Literatura ludoznawcza białoruska, nawet ta, która ukazała się w polskich wydawnictwach, jest mu dokładnie znana. Możnaby wprawdzie zaznaczyć parę opuszczeń, ale te są nieliczne i nieprzyczyniające się do obniżenia wartości przeglądu. Z zestawienia porównawczego pieśni ludowych białoruskich może skorzystać wiele każdy, kogo interesuje sposób transkrypcji wyrazów obcych łacińskiemi czcionkami. Ogółem wziąwszy — rozdział ten jest bardzo bogaty w treść i nowe przyczynki do dziejów słowiańskiej etnografji, w której my jedno z pierwszych miejsc dzierżymy niezaprzeczenie.

Dwa końcowe rozdziały zajmują się pomnikami dawnego białoruskiego piśmiennictwa oraz utworami nieludowego pochodzenia, napisanymi w języku białoruskim.

Cały ten tom kończy się alfabetycznym spisem osób oraz miejscowości, ułożonym bardzo porządnie, bez którego wprost niemożnaby się obejść w tem dziele.

Dr. St. Zdziarski.

NOTATKI. *Nieznany dokument.* W sporze o „Morskie Oko“ ważną rolę odegrał dokument Jana Kazimierza z r. 1663 znajdujący się w posiadaniu sołtysów w Białce, który im nadaje grunta przy „Rybim stawie“ t. j. przy Morskiem Oku. Podobny przywilej wydał sołtysom białczańskim jeszcze Władysław IV 20. czerwca 1637. Dokument ten znany był dotychczas tylko w kopji, obecnie zaś znalazł się w oryginale u jednego z antykwarjuszy lwowskich, w jak najlepszem zachowaniu, z pieczęcią i przeszedł w posiadanie archiwarjusza m. dra Czołowskiego.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.